

Helena Majkowska

Sygnatura notacji: **N0131**

Data urodzenia: **18.08.1926 r.**

Data nagrania: **21.06.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Skierniewice, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **55 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Helena Majkowska: Urodziłam się 18 sierpnia 1926 roku w Rogowie, powiat Sokołów Podlaski. W 1930 roku moja mamusia, moi rodzice przyjechali z tamtych stron do Skierniewic i tu w Skierniewicach zamieszkiwałam na ulicy Mickiewicza 36. Brat, 1928 rok drugi, i siostra 1930 rok. Siostra się urodziła tu w Skierniewicach, a brat..., znaczy jeden brat i drugi tutaj Rogów, Sokołów Podlaski, w tamtych miejscowościach się porodzili. Najstarszy brat miał Mieczysław, ja miałam Helena. Drugi brat z 1928 roku miał Jurek, Jerzy właściwie on miał na imię i siostra z 1930 roku, Irena. Moja mamusia miała na imię Marianna, a ojciec Jan. Ale gdzie oni się tam porodzili to nie wiem, chyba z tamtych stron, bo już tam nie pamiętam. Nie wiem nawet. W czasie wojny rodzice tu w Skierniewicach mieszkali. Jak Niemcy przychodzili, znaczy jak to była wojna w 1939 roku, to moi rodzice wywędrowali do lasu, takich znajomych na Czerwonkę i tam właściwie byli do chwili aż Niemcy weszli do Skierniewic i wrócili z powrotem na Mickiewicza ulicę. No tu chodziłam do szkoły nr 1 Mickiewicza. Później proszę pana, jako dzieci, to też my razem z rodzicami byli. Później w 1941 roku moja mamusia, te kolejki to przecież były wieczne. Warunki mieliśmy jeszcze dosyć ciężkie, ojciec mało zarabiał. Jak to była wojna, to to w ogóle było ciężko. Mamusia w tych kolejkach stała, stała, przeziębła się. Najpierw miała zapalenie płuc, później to wszystko poszło na płuca i zmarła w 1941 roku. No, zmarła. Ojciec się za cztery miesiące ożenił, mieszkaliśmy osobno, ojciec poszedł do tej swojej drugiej żony i tak ciągnęliśmy. Mieszkaliśmy koło torów, bo tam teraz już teraz nie ma tych domów, tam są już tory założone. To proszę pana, ulica Mickiewicza, Baudienst [?] takie Niemcy pracowali na torach i mieli kucharki niemieckie tak samo. Cała ulica Mickiewicza, oni gotowali obiady dla tych Niemców, ale zawsze im w kotle zostawało. Więc oni, proszę pana, cała Mickiewicza ulica przychodziła z garnkiem i oni zawsze tę łychę, taką litrową zupy i każdemu dali. I każdy podziękował im i poszedł dalej. Mój brat z 1928 roku, co się urodził, on czasem do tych Niemców poszedł, bo myśmy mieszkali tu, a Niemcy,

przez ulicę się tylko przeszło i Niemcy tam mieli ten Baudienst [?] i tam oni mieszkali. To przyniósł im nieraz wody, to im tam brykietów trochę przyniósł i za to dostał chleb, dostał margarynę i tak żeśmy w czwórkę ciągnęli. Miałam ciocię, mojej mamusi siostra była, ona mieszkała na ławkach. Teraz to jest chyba cała ulica Waryńskiego się nazywa, ale wtedy to były ławki. To ona nam tam nam pomagała, to nam jakieś obiady przyniosła, na święta nam coś naszykowała, bo praktycznie to ojciec się nami nie interesował. Ta żona ojca to nam ugotowała taką byle jaką zupę, przeważnie trochę kartoflu, trochę mąki takiej razowej. Myśmy nie mogli tego jeść, bo nie byliśmy przyzwyczajeni, bo może było ciężko, ale przecież to jedzenie jakoś było inne niż ona gotowała. I żeśmy tam, ja wiem, później było takie dworskie pole, to było z Instytut Ogrodnictwa chyba, to nieraz ten mój brat, tam jeszcze inne dzieciaki poszły, tam urwali marchwi sobie, to urwali sobie jakąś brukiew, przynieśli do domu, żeśmy sobie tam ugotowały i żeśmy to jadły. I tak z dnia na dzień, z dnia na dzień, z dnia na dzień szło. A później, jak już byłyśmy większe, to do szkoły żeśmy chodziły. Ciocia się nami trochę opiekowała, co jakiś czas to przychodziła, czasem nam coś przyniosła w sobotę, na niedzielę, żebyśmy miały coś zjeść. I później, ja nie wiem jak to, później jak już byłyśmy większe, to skończyłam podstawówkę, wyjechałam do Legnicy, już to było po wojnie, pojechałam do Legnicy i poszłam do średniej szkoły. A tak to jeszcze, ja wiem, pracowałam, najpierw pracowałam, proszę pana, jak wyszłam z obozu, to w ogóle dwa lata leczył mnie Czerwony Krzyż, bo nie byłam w stanie w ogóle, cośkolwiek, ważyłam 40 kilogramów. I byłam chuda, chora, miałam naciek płuca, na jednym płucu miałam naciek o wielkości orzecha, na drugim płucu miałam naciek. Miałam jechać do sanatorium, do Otwocka, Czerwony Krzyż mnie leczył. Wtedy przychodziły z UNRRA takie różne odżywki, dostawałam, Czerwony Krzyż mi dawał odżywek bardzo dużo, dostawałam codziennie pół litra mleka, dwa jajka, dziesięć deko masła ze sklepu, oni za to płacili. I przez okres roku wszystko mi się zabiżniło. Tu mnie jeszcze ten Czerwony Krzyż prześwietlał i po prostu sam nie wierzył, że w przeciągu roku mi się to wszystko już zagoiło. I powiedział do mojej cioci, mówi: „Proszę pani, wyślemy córkę do Warszawy na ulicę Piusa, niech oni tam prześwietlą pani córkę, bo u nas wychodzi, że prawie wszystko jest, ale to jest niemożliwe, żeby w przeciągu roku się to wszystko zgoiło”. I w Czerwonym Krzyżu na ulicy Piusa prześwietlili, wyszło to, co w Skierniewicach. I powiedzieli: „Proszę pani, nie mamy co córki wysyłać do Otwocka, bo tam gruźlica jest otwarta, to pani córka już gruźlicę zgubiła, to nie ma co jej tam posyłać. Ale jeszcze dłuższy czas, prawie przez dwa lata Czerwony Krzyż mnie leczył i te wszystkie odżywki dostawałam i tak jakoś ciągnęłam. Później, proszę pana, jak już wróciłam z obozu, to pracowałam najpierw... Gdzie ja pracowałam? Aha, w takiej dykcie, była taka dykta. Tam mnie takie znajome, moje koleżanki mówią: „Chodź przyjdź w dykcie, proszę, do pracy” to było na Zwierzynieckiej i pracowałam prawie z nimi, z tymi dziewczynami prawie rok czasu, nie cały rok, 10 miesięcy. I po 10 miesiącach mówię: „A już nie idę tutaj, idę się uczyć w szkole, będę się w średniej szkole uczyć”. Ale one mówią: „Nie, no, to popracuj jeszcze troszkę”. No, to jeszcze troszkę popracowałam. I później, proszę pana, poszłam pracować, poszłam jako doręczyciel pracować. Jeździłam na rowerze, na poczcie mi kupili motorek, jeździłam tym motorkiem. Nieraz dyrektor, jeździłam tutaj w ten cmentarz, jak jest, wie pan, nasz, ten Skierniewicki, to tam Halinów, Feliksów, Dąbrowice, ale miałam tych ludzi bardzo takich przychylnych, a ścieżek, a ścieżynek, ja nie mogłam... oni, ten doręczyciel, co przedtem był, tu wyjechał, tam skręcił, tu tam pojechał i już, ja nie mogłam trafić. Miałam bardzo dobrych ludzi. Oni do mnie powiedzieli: „Pani Helenko, niech pani się nie męczy, niech pani tu pani Koszkułowej zostawi w sklepie wszystko co potrzeba, a my sobie odbierzemy, nawet i rentę może pani zostawić”. Ja mówię: „Ja się boję, bo pani wie, jak to jest z pieniędzmi”. „Niech się pani nie martwi, wszystko będzie dobrze”. Później byłam na Halinowie, to samo, wszystko w tym sklepie. Jak tam była na Dąbrowicach szkoła, jak dyrektor ze szkoły zobaczył, że ja idę, dzieciaka wysłał: „Poproś panią

doręczyciel, niech przyjdzie tutaj do nas na górę". To poszłam na górę, a on mówi do mnie: „Proszę pani, proszę zostawić wszystkie listy zwykłe, dzieci rozdadać”. A w Dąbrowicach ta ulica była długa, a tam akurat były takie polecane listy, to już musiałam sama doręczać. Tutaj kiedyś dałam takiej dziewczynce, siostrzenicy ten polecony list, ona czy go zgubiła, czy ona gdzieś położyła. Spotykam tę jej ciocię, ja mówię: „Proszę pani, ja dałam tej dziewczynce”, już nie pamiętam imion, I ta chyba się później upomniała: „Proszę pani...”, u tej dziewczynki, ona odnalazła ten list i oddała. Jak były renty, to tam niektórzy, zawsze za tę rentę coś pieniądze dali, jak tam był na Dąbrowicach, to tam mieli taki dom niewykończony, tam było chyba siedmioro dzieci. I ten pan mi zawsze 20 złotych dawał, a ja mówię tak do niego: „Proszę pana, nie wezmę od pana pieniędzy, dlatego że tutaj jest tyle dzieci, ma pan jeszcze tę mamę, babcię”, czy to była matka, nie wiem, czy tej żony, ja mówię, „Ja nie wezmę ani grosza od pana”. A on mówi tak: „To może jabłkę pani weźmie”. Ja mówię: „Na jabłka to się nie pogniewam”. I on mnie zawsze w torby dał, bo tam po Dąbrowicach miałam koniec i na pocztę wracałam. A później poszłam, proszę pana, ciężko mi było, bo te dzieci były małe, to jeszcze jak pracowałam na poczcie, to te dzieci zaprowadziłam do przedszkoli i później wróciłam wcześniej, to po te dzieci poszłam. A później poszłam, proszę pana, kurs zrobiłam, jeszcze jak byłam w czasie okupacji, jak robiłam jako łączniczka i jako sanitariuszka, to tutaj sobie jeszcze powtórzyłam kurs taki pielęgniarski [pielęgniarski?] i pracowałam w służbie zdrowia, i odeszłam ze służby zdrowia. Ale wie pan co, ja nie wiedziałam, bo to trzeba było iść, jak skończyłam tu pracę, powinnam iść skończyć, dać tę książeczkę ubezpieczeniową, powinnam papier dostać, że tyle i tyle lat mam pracy. Później jak byłam na poczcie to samo, w służbie zdrowia, ale ja, wie pan co, nie wiedziałam wcale o tym i ja nic nie skończyłam, ja żadnego papierka nie dostałam. I później jak już wróciłam z tego obozu, nie wolno było nam się zgłaszać, że ja byłam na przykład w konspiracji, że ja byłam w Powstaniu Warszawskim, bo by mnie wywieźli do ruskich. Nie wiem, czy ona była partyjna, znałam ją tak z widzenia, się tak nieraz spotykałyśmy. Jak ja wróciłam z obozu, to wiedziałam, gdzie jej mama mieszka, myślałam, że ona tam mieszka. Poszłam do niej, ona mieszkała na Bukowińskiej ulicy, tam były dwa domki tylko, i mówię: „Gdzie Halina mieszka?” Ona powiedziała, że na ulicy Dzikowskiego, tam ponemiecki, jakiś tam pokój miała wynajęty i tam mieszkała. I poszłam do niej, a ona do mnie tak mówi: „Słuchaj, nie przyznawaj się, że byłaś w konspiracji, nie przyznawaj się, że byłaś w Powstaniu Warszawskim, tylko powiedz zawsze, że byłaś w obozie, że cię Niemcy wywieźli”. I ja się tego trzymałam. Bo mówi: „Słuchaj, tutaj powstańców tak mordują”, bo Rakowiecka to, proszę pana, więzienie było bardzo ciężkie. Tam było bardzo dużo powstańców i oni się nad tymi powstańcami w ogóle znęcali. Ona mówi: „Słuchaj, w jednym pokoju leżą gołe na betonie i mają okna pootwierane w mokrym, a w drugim pokoju leżą też na betonie, bez ubrania, bez niczego, mają kibel postawiony, okno jest zamknięte. To się – mówi – duszą”. To mówi: „Nie chciałabym, żeby ciebie to spotkało”. I ja się zawsze trzymałam obóz koncentracyjny, obóz koncentracyjny, a już jak można było się tak ujawnić, to się zgłosiłam. Najpierw chyba do ZBoWiD-u, później do... Nie, chyba najpierw poszłam do inwalidów chyba wojennych. Już tak nie pamiętam. Najpierw dostałam chyba tę legitymację jako inwalida wojenny, że jestem pierwsza grupa z ogólnego stanu i pierwsza grupa ogólna. I później do ZBoWiD-u, do kombatanatów. I oni mi dali też, że 4 lata, 2 miesiące działalność z obozem koncentracyjnym. I tak ciągnęłam dalej.

Szymon Nowak: Jak się stało, że pani do konspiracji trafiła?

Helena Majkowska: Proszę pana.

Szymon Nowak: Czy to było tutaj w Skierniewicach?

Helena Majkowska: Tu było w Skierniewicach, tak. Zapoznałam się z taką panią. Ona, proszę pana, była w konspiracji już od jakiegoś czasu i ona mnie wciągnęła do tej konspiracji. I ja, proszę pana, poszłam... Tak, ja tam do niej wchodziłam. Ona mieszkała... Chyba nawet w tego domu nie ma na Mszczonowskiej, gdzie chyba daleko. Pomagała, ona mnie wciągnęła i ona mi, proszę pana, polecenie takie dała, żebym tam czy... Pomagałam jej w tych... W tych rannych opatrywaniu, to jej pomagałam. Ona mi przekazała tam, że mam te jakieś gazetki roznieść, że mam broń zanieść, że mam pistolety zanieść, że mam granaty zanieść dla chłopaków. No, to wszystko według jej zlecenia, wszystko to i robiłam. I u niej byłam od 1 lutego 1941 roku do 31 grudnia 1941 roku. I powiedziałam: „Proszę pani...”, a ona miała... ona się nazywała Melon, miała pseudo „Arbuz” i był... Dowódcą był Dębicz, pułkownik czy podporucznik, chyba... Miałam notatki zrobione, żeby mówić, nie wzięłam tego wszystkiego. I mówię tak do niej: „Proszę panią, ale ja chcę jechać do Warszawy i tam, mówię, się znowu... Połączę się gdzieś z konspiracją, bo to w dalszym ciągu pracowałam”. I ona mówi: „Dobrze, to niech pani jedzie”. I 31 grudnia od niej już odeszłam i pojechałam do Warszawy. Zamieszkałam w Warszawie, na Mokotowie, na ulicy Ikara u takich znajomych. I ja mieszkałam na Ikara 13, a był Ikara 13, taki Marceli, on był w konspiracji już tak dawno, jakoś przez płot, siatka nas dzieliła, to on się tam pytał, widocznie wypytywał mnie się może czy ja byłam gdzie, ja powiedziałam, że byłam w konspiracji w Skierniewicach, że pracowałam, to mówi: „Wciągnę panią tutaj do Skierniewic [Warszawy?]”. I on mnie tam polecił jakoś tam leśniczance. Ta leśniczanka, proszę pana, mnie poleciła podporucznikowi. W 5. obwodzie pracowałam w oddziale Baszta. Ona mnie poleciła, ta pani leśniczanka zapoznała mnie z podporucznikiem..., Jadwigę Okoń. A wtedy organizowali tu w Warszawie taki kurs ochotników do Powstania Warszawskiego, przygotowywali i oni mnie to wszystko załatwili i chodziłam na taki kurs przygotowawczy, to nie tylko ja byłam, bo to wszystko się zgłaszali chętni do pracy, do Powstania Warszawskiego. Oni nas przygotowywali na wypadek Powstania Warszawskiego, takie kursy sanitariuszek, kursy łączniczek. I zaczęłam wykonywać, najpierw chodziłam na te kursy codziennie, a później polecenie nam dawali, że to mamy zrobić, czy tam broń jakąś zanieść, czy jakieś granaty powstańcom zanieść. I cały czas tak właściwie pomagali, pomagali i coś, co kazali nam robić, to żeśmy robili. I to później już jak było, to już było, proszę pana, to Powstanie Warszawskie jak wyszło, to już tym bardziej musiałyśmy tym powstańcom pomagać, tę broń dowozić, donosić. Kiedyś miałam takie zlecenie, że mam zanieść granaty takie, jajeczka, to były okrągłe i takie z rączką, ale ja już tam nie pamiętam, jak one się nazywały. Miałam dwie torby tych granatów i miałam zanieść na Śródmieście. I miałam ten adres, gdzie mam to wszystko zostawić. I trzy tramwaje jechały. Pierwszy tramwaj, tylko że ten jeden tramwaj od drugiego była pewna odległość. To pierwszy tramwaj, co był i drugi tramwaj Niemcy zatrzymali. Były te samochody budy, stały obok i wszystkich tych ludzi wygarnęli do tych samochodów, a nasz był trzeci. To wszyscy ci ludzie się wymietli z tego tramwaju, tylko zostałam ja, te moje granaty na przednim pomoście i jeden pan. Ale denerwowałam się, bałam się, bo wie pan, człowieka by zaraz rozstrzelali. I taka jakaś niespokojna widocznie musiałam być, a ten pan mówił: „Panienko, niech się panienka nie denerwuje, niech się panienka nie patrzy do okna, tylko przed siebie. I zobaczy panienka, że przejeździemy, a nas dwoje, to prawdopodobnie Niemcy nie będą chcieli wchodzić”. I rzeczywiście tak było. Przewiozłam te granaty, oddałam, już nie pamiętam, to było gdzieś na Śródmieściu. Miałam ten adres, już tyle lat, to nie pamiętam. Zostałam i z powrotem przyjechałam do domu na Ikara ulicę. Później były, proszę pana, te bombardowania. Mokotów zaczęli Niemcy bombardować. Później zaczęli, proszę pana, bomby puszczać, takie zapalające, gdzie się w piwnicach rozpadały i ludzie, ci co byli w piwnicach poparzeni, twarz, ręce, nogi. Proszę pana, to jest coś okropnego. Zrobili, był szpital Elżbietanek w Warszawie, więc do tego szpitala

dowoziliśmy, doprowadzaliśmy, bo niektórzy, co nie mogli chodzić, to dowoziliśmy do tego szpitala i zrobili później, na Woronicza była taka szkoła, w tej szkole zrobili szpital, taki prowizoryczny i tam też tych poparzonych przywoziliśmy i powstańców też rannych też do tej szkoły i do szpitala Elżbietanek też żeśmy doprowadzali. Z taką Miłą codziennie chodziliśmy po obiady dla tych chorych osób do szpitala Elżbietanek, oni nam taki kocioł dali, tej zupy, żeśmy raz szły, przyleciały samoloty niemieckie, nisko, tak niziutko, a my pod tym skulone, przy tym kotle tak siedziałyśmy, ja z jednej strony, a ona z drugiej strony. Samoloty odleciały, żeśmy podniosły się za ten kocioł, żeby do szpitala, żeby do tej szkoły zawieźć, a samoloty z powrotem wróciły, to my pod płot, skoro skurczyłyśmy się, przytuliliśmy się do tej siatki, do tej trawy, samoloty tak niziutko poszły, strzelały z tych karabinów swoich, ale te kulki gdzieś tam dalej leciały, nie koło nas, ale nie w nas i później jeszcze myśmy poleżały trochę, bośmy się bały, że te samoloty mogą znów wrócić, ale te samoloty już nie wróciły i kocioł w ręce i do szkoły żeśmy poszły, bo jak to mieli już gotowe jedzenie, a tutaj w szkole, to musiałybyśmy dostarczać, karmiłyśmy tych ludzi małymi łyżeczkami, dużą łyżką to nawet nie można było, bo te buzie miały, te popalone twarze, te ręce, te nogi, proszę pana, coś okropnego, coś okropnego było. No i tak się ciągnęło cały czas do tych powstańców, do tych powstańców i stale donosiłyśmy tam broń, te granaty i później był rozkaz chyba 27 września, żebyśmy się kanałami dostali do Śródmieścia, połączyli się z jakimiś innymi... z organizacją, z innymi grupami. Pojechaliliśmy, woda dotąd, Niemcy, szczury, trupy, brud, kanały, to coś okropnego, gdybym miała ginąć, proszę pana, i powiedzieliby tak, że w kanałach ocaleję, a tu zginę, wolałabym tu na miejscu ginąć niż do kanałów iść, to było coś okropnego. I okrakiem się szło, bo tu wszędzie pełno tej wody, woda dotąd sięgała, Niemcy tak śluzę puścili, to woda dotąd była, były liny grube, każda trzymała się jedną ręką tej linii, drugą ręką trzeba było trzymać daną osobę, co przede mną szła, żeby się nie zgubić, żeby się nie utopić, byli przewodnicy, co prowadzili nas tymi kanałami. Poszliśmy na Śródmieście, doszliśmy do Śródmieścia, Niemcy zajęli wszystkie pozycje, wszystko było zajęte. Na tej ulicy, no, znowu zapomniałam tę ulicę, to tam właśnie w 1944 roku, jak było powstanie, to spalili, 50 tysięcy tych ludzi popalili, ale już mi z głowy wyleciała ta ulica.

Szymon Nowak: To na Woli, tak? Rzeź Woli, na Woli.

Helena Majkowska: Na Woli, właśnie. To całe rodziny poginęły, to było coś okropnego. I później, proszę pana, wróciliśmy kanałami z powrotem na Mokotów. W kanałach żeśmy się jeszcze umawiały z tymi dziewczynami, u nas była czterdziestka, że przejdziemy pojedynczo, by nim się przedostawać przez ulicę na Puławską, może z jakąś działalnością, z organizacją się spotkamy. Wychodząc z kanałów, każdy Niemiec stał przy włączu, a jeszcze do kanałów, proszę pana, rzucali granaty, puszczali gazy, to było coś niesamowitego. Strzelali normalnie z karabinów, tymi włączami i nas czterdziestka, pomatu wychodzimy, umówiliśmy się, a tu wychodzimy, ci Niemcy z tymi karabinami, tak, stojący, i: „Raus, raus, schnell, schnell”. I nam kazali się położyć na ziemi, żeśmy leżały na ziemi. Chłopcy, którzy wychodzili, wszyscy zostali rozstrzelani, może nie przy kanałach, jeszcze ich dalej i dalej wyprowadzili, ale dużo chłopców, chyba 1200 osób zginęło wtedy z tych kanałów, co wychodzili. Część chłopaków zostało, proszę pana, w kanałach, bo nie chcieli się Niemcom poddać. Leżałyśmy może ze trzy godziny, z boku dziewczyny, może z 15 dziewcząt klęczało, twarzami do muru, trudno nam powiedzieć, kto to był, czy to były z powstania dziewczyny, czy to były cywilne dziewczyny, trudno powiedzieć, ale one już chyba musiały przed nami dłuższy czas klęczeć. I leżałyśmy tam na tej ziemi trzy godziny. Później Niemiec kazał żołnierzowi rozstawić maszynowy karabin, taki kręcący i mieli nas rozwalić, tak samo jak chłopaków. Ulica Dworkowa to była, proszę pana, zajęta przez tych Niemców wszystkich, tam SS było. Przyszedł z tej Dworkowej ulicy po tych trzech godzinach, może trochę więcej jak trzy, jakiś

Niemiec, chyba starszy od tych, co tam byli i kazali, kłócili się między sobą prawie z pół godziny i później kazał ten Niemiec, co przyszedł, rozmontować ten karabin maszynowy i kazał, proszę pana, nam się ustawić w czwórki, może w ósemki, nie wiem, i zaprowadzili nas na Forty Mokotowskie. Tam zrobili pół godziny odpoczynku, po półgodzinnym odpoczynku wymarsz dali do Pruszkowa. W Pruszkowie, jak przyjechał, to już był wieczór, późno, te dziewczyny, co klęczały, zostały, tak jak klęczały, nie wiem, co z nimi zrobili. Później pojechaliśmy do Pruszkowa, w Pruszkowie nam dali, co było, też nie pamiętam, czy kawa, czy chleb, czy zupa, nie wiem, przenocowałyśmy w tym Pruszkowie, rano, godzina 6:00, zbiórka i do wagonów, na stację, do wagonów towarowych, bydłowych. Nas, czterdziestkę, wsadzili do tych wagonów, to miałyśmy luźno, a następne wagony, tam byli ci powstańcy też, to upychali ludzi tak dużo, że ledwo te drzwi mogły się zamknąć, prawie jak śledź w beczce, tak upychali. Dużo ludzi w tych pociągach poginęło, podusili się. 29 września byłyśmy... I pojechaliśmy w nieznaną. 29 września byłyśmy już w Stutthofie, bo przeczytałyśmy napis Stutthof. Kazali nam wysiadać, „schnell, schnell, schnell”, te psy na nas szczekały. Tymi pytaniami walili, ja sama w łeb dostałam, proszę pana, tą pytaniami, walili po całym ciele, nie patrzyli gdzie, to w głowę, w plecy. Nas, proszę pana, czterdziestkę z tego wagonu wypuścili, staliśmy pod bramą tego obozu koncentracyjnego całą noc. Rano otworzyli tę bramę i nas wpuścili do środka, do tego nowego, do tego starego obozu. A jeszcze przedtem, jak żeśmy stali pod tą bramą, to Niemcy prowadzili tych ludzi gdzieś przez jakiś las. Jeszcze myślałyśmy, że może nas rozstrzelają, ale później okazało się, dosyć długo żeśmy szli przez tę drogę i później Niemcy kazali nam się zatrzymać. Tych ludzi dalszych popędzili dalej i żeśmy patrzyły z daleka, tam były te baraki postawione, tam był obóz nowy, tam był obóz żydowski. A nas z powrotem, jak już ci ludzie poszli do tego obozu, to nas z powrotem zabrali do tego obozu w Stutthofie, do tego starego lagru nas tam wpuścili. Później nam dali, proszę pana, rano do takiego małego, bo tam murowane były domy przeważnie, tam Niemcy mieszkali, na pozór to wszystko bardzo ładnie wyglądało. I dali nas do takiego małego pokoiku, może 15 metrów mniej więcej, naszą całą czterdziestkę. Tośmy spały na podłodze, do połowy, jak się w nocy któraś przebudziła, to najpierw na jednym boku się spało, później się przekręcało na drugi bok i tam praktycznie w tym pokoju, żeśmy do prawie... przed Bożym Narodzeniem nas przenieśli dopiero do nowego bloku. Tam był rewir, tam były jeszcze ubikacje, fajnie wszystko było, tam byli lekarze z Warszawy, z powstania, niektórzy, którzy wcześniej byli przywiezieni, pielęgniarki, to oni raz nam jakiś chleb zorganizowali, chłopa-ki, jak się dowiedzieli, że my z Powstania Warszawskiego, to proszę pana, oni tam robili na... te dachy były takie uchylające, to oni tam zawsze 40 kromek chleba naszykowali i te dachy, i kazali nam pilnować się w oknie, żeby stać, że w razie jakaś auzjerka czy blokowa będzie szła, to śpiewamy, to oni wtedy ten dach przykrywali, żeby nie było widać, że coś nam pomagają. Rzucali dziewczuchom, bo niektórzy paliły papierosy, papierosy nawet i opiekowali się praktycznie, i zupy przywozili nam z kuchni niemieckiej, takie dobre obiady, [niezrozumiałe, 00:30:24] pisało i oni nas prawie do, cały czas pomagały, cały czas pomagały, wspierały nas. I później przed Bożym Narodzeniem, Niemcy, aha, Żydówki to nieraz prowadziły do tej łaźni, bo tam była ta właśnie, kąpiele robili tym Żydówkom, takie małe dwie dziewczynki, po jakiejś, może po sześć, może po pięć, może po siedem lat, dziewczynki zawsze naprzódzie szły i te Żydówki wykąpały, ubranie im rzucili na podwórko, na plac, ci goli ludzie wychodzili z tej łaźni, proszę pana, i szukali, jakiejś rzeczy brali dla siebie, żeby się ubrać. I przed Bożym Narodzeniem, a jeszcze jak taka była jeszcze auzjerka, myśmy ją nazywały „Żyrafa”, bo ona była bardzo chuda a wysoka i dziewczyny zawsze pilnowały, a ona tak po cichutku wchodziła, że któregoś razu ona pod nasze okno doszła, ten dach był jeszcze tak trochę niedomknięty i dziewczyny paliły papierosy, a ona mówi, to było ciepło, bo wtedy jeszcze, to ona mówi, ta Niemka mówi: „Co wy tu macie, papierosy?” A dziewczyny mówią: „Nie, my palimy bandaże”. „Bandaże?”. Na drugi dzień wszystkich

z tego pokoju wyrzucili na podwórko, wszystkie tam bandaże, te sanitarne torby, wszystko pozabierały, wyniosły i puścili nas do tego mieszkania, to już nic nie było. To później dziewczyny uważali więcej na tę auzjerkę, jak ona szła, bo ona po cichutku chodziła i jak ona, jak już było widać z okna, że ona tam idzie, to już zaczęli śpiewać, powstańcze piosenki, to już chłopaki wiedzieli, że trzeba dach zamykać, no i tak żeśmy ciągnęli prawie do Bożego, przed Bożym Narodzeniem. Wszystkich nas wzięli do kąpieli, spisali personalia, dali nam opaski AK, czerwone winkle, jako polityczni, włosów nam nie ścinali, tylko dezynfekcję przeprowadzili, dali nam pasiaki, trepy, chustki na głowę i zabrali nas na żydowski barak, na żydowski obóz, bo oni jeszcze tam budowali ten obóz, dokończyli. Byliśmy na 27 baraku, każdy barak był, w ogóle całe te wszystkie budynki były płotem, wszystkie budynki miały pod prąd te płoty swoje i były takie furtki, każdy barak miał takie przegrodzenie, taka była furtka i myśmy były pod 27 barakiem, tam było, proszę pana, nie pamiętam już, ile tych łóżek, po trzy osoby, myśmy spali na jednym łóżku, miałyśmy trzy koce, więc jeden koc kładliśmy w takie wiórki, żeby na kocu spać, dwoma kocami żeśmy się przykrywały, jak dzisiaj spałam w nogach, to jutro spałam w głowę, a ta, co spała w głowach, to poszła spać w nogi i nas tam, tam w tych barakach, tych łóżek było, proszę pana, raz, dwa, trzy, cztery, chyba z osiem łóżek, te trzypiętrowe, tam nas było bardzo dużo osób. A jeszcze przepraszam, bo jeszcze jak żeśmy byli w starym obozie, to nie miałyśmy w ogóle ani apeli, nic, tylko tyle żeśmy siedziały w tym domu, w pokoju i żeśmy śpiewały, ani na żadną pracę, nic, no jakby nas nie było. A tam jak byliśmy na tym baraku, na tym lagrze żydowskim, no to już miałyśmy, proszę pana, apele rano i wieczorem. Jak się tam nie zgadzało coś w liczbie tych obozowiczów, to nieraz sześć i siedem godzin się stało, niektórzy padali ze zmęczenia, to nie wolno im było ruszyć się w ogóle z tego miejsca, tylko musiały leżeć, aż się apel skończył, no i później żeśmy rozchodzili się do bloków, do tych baraków. Codziennie, ja nie pamiętam co było, 28, jaki tam był numer, bo tam codziennie, proszę pana, przywozili Żydówki, sporo tych Żydówek i one, proszę pana, nie chciały bardzo iść, to ich tamtymi pytkami podciągali i z tego bloku, jak już tam były w tym budynku, to już żadna Żydówka nie wyszła do swojego baraku, żadna. Tych nieboszczyków żydowskich to leżało pod tymi barakami, pod ten sam dach. Codziennie przyjeżdżali obozowicze, więźniowie z takimi wózkami, no i tych nieboszczyków rzucali na ten wózek i palili ich w krematoriach. Przywozili też Żydów, Żydówki, nawet dzieci, był taki jak bunkier, jak coś, takie i tych ludzi upychali tam, ile weszło i tam cyklon puszczali, mieli jakieś tam pomieszczenie, było słychać ten jęk tych ludzi. Krematorium codziennie dymiło i dymiło, tego dymu nie można było po prostu, wie pan, znieść tego zapachu palących ciał. Później w styczniu, chyba 27. już nie pamiętam którego dnia, w styczniu były ruskie samoloty, jeździły, takie kukuruźniki [Po-2]. Myśmy poznały, że to są ruskie, bo jak ruskie dawali, proszę pana, oni rzucali, zrzuty w Parku Dreszera, to myśmy mówiły: „O, trajkotki jadą”. I przyszły te Rosjanki mówią: „Nasi są, nasi są blisko”. I proszę pana, zrobili, a jeszcze odwszenie zrobili, wszystkim nam zabierali te pasiaki, to wszystko do odwszenia, a później jak te ruskie samoloty, już ten kukuruźnik tak niziutko jeździł, to szybko powynosili, to wszystko jeszcze było wilgotne prawie, to rzucili na plac i każdy szybko łapał, żeby jako tako się ubrać i wymarsz po 20 kilometrów. I to polnymi drogami, bo główną drogą to szło wojsko niemieckie, szły rodziny niemieckie, szły tam dzieci z matkami. I trzeba było, ja wiem, na okrągło w daleka chodzić, nogi przecież były mokre, już prawie rano o godzinie 6:00 chyba wymarsz. Zimową porą, to jak nas pędzili, to koło 9:00 do tych budynków, albo do kościoła, albo do stodoły, pozamykane byłyśmy. I się szło, i się szło, i się szło, i padali, i ludzie nie mieli siły iść, śniegu garstkę się chwyciło w garść, i to już tak ci, co na brzegu stali, to już sobie chwycili szybciej, ale ci, co po środku, to nie mogli chwycić, bo przecież ten śnieg był podeptany. Ale ciągnęło się jakoś tam pomału, pomału i proszę pana, ludzie padali jak beczki, jak muchy, trupów pełno przed nami, kobiety jak szły, to za nami. A i dużo Niemców, niemieckich ludzi i kobiety, to było dużo proszę

pana, siedziało w tym, w Niemczech, w obozach, jak tam był rewir, ja często chorowałam, proszę pana, tu nie miałam nic, tylko takie żyły, te uszy miałam wiecznie chore, bo... twarz tak samo, dostałam jakąś egzemę, jakieś coś, proszę pana, coś niesamowitego, była taka łuska, to miałam na całym ciele, miałam na szyi, tu wszędzie, to często byłam na tym rewirze, ale długo nie mogłam być, bo jak się było dłużej na rewirze, to robili, Niemcy sprawdzali, do spalenia szli ci ludzie, to tam 2–3 dni się pobyło i z powrotem się wychodziło i jak ja byłam na tym rewirze, to taka była Niemka, dziewczyna niemiecka, ona miała z 18 lat, ona chorowała na malarię, ona miała 39 temperatury, stale chora, to oni, ci rodzice pomagali tym obozowiczom, może Francuzom, może Polakom, trudno mi powiedzieć, bo tam wszyscy, nie umiałam po niemiecku wiele mówić i byli szpicle, to donosili, raz donieśli do tej matki, do tego ojca, że tam pomagają drugi raz, a trzeci raz jak tam donieśli, to tę dziewczynę dali do obozu, matka została, oni mieszkali w Berlinie, matka została w domu, a ojca na front rosyjski wysłali. Ona mnie jakoś tak polubiła, a ona do mnie mówi kiedyś: „Eli, Eli, ty meine Schwester [moją siostrą] będziesz, ja?”. Ja mówię: „Tak, tak”, co ją miałam martwić, proszę pana, chora dziewczucha, ledwo dysząca. Ona co tydzień dostawała paczki, ona się zawsze dzieliła, jak byłam na rewirze, to zawsze mi tego ciasta kawałek dała, a ja znowuż tym kawałkiem ciasta dzieliłam się ze swoimi dziewczynami, i ona do mnie powiedziała: „Jak się wojna skończy...”, oni są bogaci, mają duży dom, i ona jest tylko jedna, to ja będę jej siostrą, ja mówię tak, i jej mówię: „Tak, tak ja i ty, no dobra”, ale proszę pana, ona została w obozie, dała mi swój adres i w 1945 roku, jak ja byłam już na wolności, to ja w 1946 roku napisałam po polsku na ten jej adres, czy ona żyje, czy nie żyje, ale myślę, że ona chyba zmarła, bo jak ona miała tyle temperatury w tym Stutthofie, ludzie co zostali, to tam już na pewno wykończyli. Za miesiąc czasu przyszła odpowiedź, że nie ma takiego domu i nie ma takich osób, także albo matka może zginęła, ona też, no. No i proszę pana, i ciągnęło się tak, ci ludzie wędrowali, wędrowali, wędrowali, padali jak te muchy. A jeszcze muszę powiedzieć, że gnębiły nas w obozach, proszę pana, wszy, jak te muchy po nas łaziły, człowiek się obrał, nim poszedł na ten apel, przyszedł z apelu, znowu się obrał, no jak, wszy okropne, wszy okropne, jak te muchy po nas, trudno nawet i zejść nie chciały. To było coś niesamowitego, no i ciągnęło się, ciągnęło się. Później, proszę pana, już po wyzwoleniu, ruskie nas wyzwolili... [Wcześniej] miałyśmy odpoczynek, ten cały komendant obozu zachorował, tydzień czasu nie miałyśmy ani apeli, ani, ani w ogóle nic, odpoczywałyśmy. Ci ludzie, co mieli, te nogi im gnęły, to trzeba ich było wynosić, ci co mogli chodzić, to sami musieli wychodzić, te okna i drzwi były pootwierane, smród tego gnijącego ciała, to był okropny i ci biedni ludzie, ci obozowicze, ci więźniowie musieli na tym śniegu siedzieć do wieczora, wieczorem wracali, przynosiło się, albo dochodzili do tego budynku i zamykali te okna i te drzwi, a tak to wszystko było wietrzzone. I co później było?

Szymon Nowak: A moment wyzwolenia?

Helena Majkowska: I proszę pana, był tydzień czasu, ten Niemiec, komendant obozu zachorował, nie miałyśmy apeli ani nic, my byliśmy bardzo w dole, jechały ruskie czołgi bardzo wysoko, i te blokowe, i te auzjerki, i ci Niemcy też się tam przyglądali na te czołgi cały czas, bo oni myśleli, że to ich czołgi jadą. I ten komendant obozu te auzjerki dwie puścił i blokowe dwie, i one poszły, ja wiem, to było dosyć daleko, bo one za dwie godziny, za trzy godziny dopiero wróciły. I te czołgi w dalszym ciągu jadą, auzjerki poszły z tym, a i część obozu poszła, część obozu, ale oni dopiero wrócili, chyba, ja wiem, więcej jak za dwie godziny. Taki czołg jeden stał, proszę pana, tą łufą swoją wykręcił się do nas, to myśmy myśleli, że ci Niemcy nas będą z tego czołgu walić na nas, bo skąd, myśmy przecież nie widzieli, że to ruskie. I za jakieś dwie godziny chyba przyszły te blokowe Rosjanki, już nie ma tego komendanta, nie ma już tych auzjerek, wszystko gdzieś się ulotniło. I te Rosjanki krzyczą „Nasi, nasi!”. A te blokowe, proszę pana, one były, jedna

to była chyba Ukrainka, ona się bardzo źle odnosiła do tych obozowiczów, to ją rozstrzelili, sami ruscy ją rozstrzelili i zostawili, nawet nie miał kto pochować. I proszę pana, ale ci ruscy to byli, proszę pana, nachalni, oni gwałcili nawet młode dziewczyny. I te ruskie jak już doszły do nas, kazały nam zajmować te mieszkania, te niemieckie, my żeśmy poszły do tych mieszkań niemieckich. Niemcy mieli tam takie spiżarnie, kielbasę, boczki, proszę pana, wszystkiego pełno, jak myśmy się rzucili na to jedzenie, jakie my chore byłyśmy, te żołądki, Boże kochany. I później przychodzili ci lekarze rosyjscy, oni przynosili nam miętę bardzo, bardzo mocną i kaszę, kaszę, kaszę, kaszę, powiedzieli, żebyśmy nic z tych rzeczy nie jadły, bo się pochorujemy i naprawdę do domu nie wrócimy. I codziennie miałyśmy świeże kasze i świeże te mięty, i kurowałyśmy się. I później, proszę pana, jak żeśmy pozajmowały te mieszkania niemieckie, to takie dwie panie jeszcze były starsze, to myśmy, ja byłam wtedy młoda i taka jeszcze moja koleżanka, tylko ja już nie pamiętam, z kim ja byłam, to myśmy były w pościeli, łóżko zaścielone, dziury od ściany zrobione, żeby nam powietrze wchodziło i żeśmy, proszę pana, tam pościelone były w tych zakrytych, na tych, w jakimś tapczanie czy coś, bo nie pamiętam już, co było, ale w każdym razie się... I te starsze dwie panie stały i te ruskie, jak weszli to: „Mołodej?“, a one mówią, że: „Nie, że one są bolnaje, że one są już z alalagru“. No to ruskie poszli dalej, proszę pana, ale strach było przy nich siedzieć, bo nie patrzyli, aby dziewczucha młoda była i gwałcili, a teraz te Niemki też się bały, bo też tak samo je gwałcili. I to się na tym już skończyło. Później byłyśmy, pierwszy transport był, proszę pana, każdy chciał do domu jak najszybciej jechać, więc pierwszy transport, proszę pana, takie podwozy, tylko ja nie wiem, czy to byli Niemcy, ich wieźli, tylko były wozy i tam pełno tych więźniów, co mogli już do domu jechać, jechało. W lasach były Niemcy, z tych czterech wozów, tych wszystkich obozowiczów pozabierali, tych więźniów pozabijali i jak myśmy się dowiedziały, to już byśmy się w ogóle bały zgłaszać, żeby do domu jechać. Ruskie powiedzieli, żebyśmy się nie bały, bo oni wszystkich tych Niemców wyłapali z tego lasu, że możemy sobie spokojnie jechać. I później druga tura już pojechała, to wszystko było w porządku. My byłyśmy w trzeciej turze, to my żeśmy, proszę pana, pojechali do, też tymi samymi wozami nas podwieźli do Wejherowa. W Wejherowie, proszę pana, był tyfus, była kwarantanna, więc my musieliśmy w Wejherowie przebyć jeszcze dwa tygodnie. I później po dwóch tygodniach nam dali takie zaświadczenia, że wracamy z obozu koncentracyjnego i jechałyśmy praktycznie z tymi ruskimi pociągami, tam nas kilka było. Ja wysiadłam, proszę pana, w Zielkowie chyba i przesłam później do Łowicza i z Łowicza przyjechałam do Skierniewic. Miałam zaświadczenie do Warszawy i później pojechałam do Warszawy. Ten budynek, gdzie mieszkałam, był spalony, bo ruskie powiedzieli, że tu burzuje mieszkają, bo to był dyrektor, który 11 językami władał, on wykladał w gimnazjach, on miał ładnie urządzone to mieszkanie. I ruski jak zobaczyli, że tak wszystko ładnie urządzone, to wszystko podpálili, bo tylko ten jeden dom spalili, tę willę, a tam było 15 tych willi, właściwie 14, bo 15 to był taki domek jednorodzinny, tam mieli haziastwo, tam mieli krowy, tam mieli jeszcze na polu świny, trzymali tam, ale trzynastka to była ostatnia chyba, ostatnia willa. I później jak zobaczyłam, że to wszystko spalone, zobaczyłam jak te domy wszystkie są poniszczone, popalone, to się płakać chciało, proszę pana. To niczym teraz jak jest Ukraina, jeszcze może gorzej była jak Ukraina, proszę pana. I później wróciłam z powrotem do Skierniewic, miałam tę ciocię właśnie, to się u tej cioci się zatrzymałam na tych ławkach, a później już to ja nie wiem, bo później byliśmy więcej dorosłe, to moja ciocia mieszkała na ulicy Mickiewicza i my żeśmy mieszkali na Mickiewicza w tym pokoju naszym, bo miałyśmy jeden pokój. Ojciec też gdzieś tam u tej swojej żony, mieszkał na tej Mickiewicza i tak żeśmy ciągnęły, jak już mogłam, byłam silna, zdrowsza, no to poszłam do tej pracy, jak mówiłam, najpierw poszłam do...

Szymon Nowak: Fabryka dykty, tak?

Helena Majkowska: Do fabryki dykty, później poszłam jako doręczyciel, później poszłam jako służba zdrowia i na tym się skończyło.

Szymon Nowak: Proszę mi powiedzieć, jaki miała pani pseudonim?

Helena Majkowska: Ela.

Szymon Nowak: Ela. A nazwisko z domu?

Helena Majkowska: Z domu Kurek. W obozach, co byłyśmy, proszę pana, to była tragedia praktycznie. Tam to powinno być miejsce uświęcone, bo tam ludzie ginęli, spaleni, mordowani. Nie chciałabym, żeby ta wojna powtórzyła się, żeby ta młodzież nasza mogła się normalnie uczyć.

Szymon Nowak: Nic nie wspomniała pani o mężu.

Helena Majkowska: Proszę pana, wyszłam za mąż w 1950 roku. Mój mąż był z dużej rodziny. Ich matka zmarła bardzo wcześnie. Ich było chyba 10 osób, 10 dzieci.

Szymon Nowak: A jak miał na imię mąż?

Helena Majkowska: Zbigniew Majkowski się nazywał. I proszę pana, oni byli w domu dziecka, te dzieci wszystkie. Ojciec się ożenił, jak ta matka zmarła, to ojciec się ożenił z nową babką. To jeszcze było czworo dzieci z tej drugiej żony, ale te dzieci poumierły. Dwoje to zmarło, a dwoje jakoś tam przeżyło. Te dzieci są gdzieś zagranicą. Nie ma już tutaj w Skierniewicach ani w Warszawie. Nie wiem nawet gdzie są, bo nie mamy kontaktu z nimi. I proszę pana, moja ciotka była pielęgniarką. To, co tutaj państwo są, to kiedyś był dom starców. Tam już ten drugi budynek, to wszystko był dom starców. I tutaj moja ciotka pracowała jako pielęgniarka w tym domu starców. Później ten dom zlikwidowali, a przenieśli się na Wycześniak. To jest za Kamionem. I moja ciotka tam pracowała. Mój mąż przyjechał z wojska, chyba jak z wojska wyszedł, to przyjechał do mojej ciotki. Ona mieszkała wtedy właśnie na tej Mickiewicza 36. I nie, przepraszam, moja ciotka mieszkała na Ogrodowej. Ogrodowa 3. I powiedział, zatrzymał się te 3 dni u mojej ciotki i powiedział, że on gdzieś może wyjedzie. A moja ciotka mówi tak: „Zbyszek, gdzie ty będziesz jeździł? Siedź tutaj w tym domu, będziesz tego domu pilnował, będziesz do mnie przyjeżdżał na Wycześniak do tego domu starców, to tam zawsze obiad sobie zjesz i zostań tutaj”. I jak ja, proszę pana, a ja chodziłam do szkoły w Legnicy do Gimnazjum Winiarskiego. I jak ja wróciłam na wakacje, już nie pamiętam jak to było, w każdym razie ja wróciłam, on mnie zobaczył, powiedział, że taka fajna dziewczyna, to zostanę tutaj. I w 1950 roku, przed Bożym Narodzeniem, oświadczył się mojej ciotce i mnie, no i w 1950 roku na Boże Narodzenie żeśmy wzięliśmy ślub kościelny i ten cywilny. I tutaj żeśmy zostali. W 1951 roku, urodziła się właśnie moja córka Ewa. Ona ma trochę przeciągnięte, bo ona praktycznie się urodziła w Wigilię, a że to była położna, znajoma z sąsiedniego mieszkania, to przepisała ją na grudzień, ale już nie pamiętam, ja nie pamiętam, kiedy ona ma, 27 grudzień chyba ona ma, to parę dni później. I w 1951 roku się urodziła córka Ewa, później się urodził..., w 1923 [1953] urodziła się Krysia, druga córka i później po 12 latach się urodził syn Mirosław, on zmarł, 14 lat jak nie żyje. I tak się ciągnęło.